

STANISŁAW DĄBROWSKI

WYPRAWY POLARNE: SPITSBERGEN 1980 (LATO) I SPITSBERGEN 1987/1988 (ROCZNA)

Opis zadań i wspomnienia z wypraw polarnych, w których uczestniczyłem, niech będą uzupełnieniem wiadomości o udziale pracowników IGiK w badaniach polarnych zamieszczonych w artykule Jana Cisaka „Polskie wyprawy polarne w minionym 70-leciu IGiK z perspektywy wspomnień pracowników”. Mam nadzieję, że Czytelnicy wybaczą nam nieco odmienny porządek i sposób opisu wypraw, ale ujednolicanie tekstu mogłoby spowodować pewną monotonię, dla Czytelników mniej atrakcyjną, a dla autorów pracochłonną.

Wyprawa Spitsbergen 1980

Z wypraw Polskiej Akademii Nauk do Polskiej Stacji Polarnej na Spitsbergenie ta w roku 1980 była drugą, a jej kierownikiem był dr Janusz Niewiadomski (1987/1988 wyprawa założycielska stacji pod kierownictwem Stanisława Siedleckiego, 1979/1980 – wyprawa pod kierownictwem prof. Mariana Puliny, z udziałem grupy letniej, w której składzie był pracownik Zakładu Fotogrametrii IGiK dr inż. Witold Mizerski). W 1980 roku w składzie grupy letniej znajdowali się dwaj geodeci z IGiK – dr inż. Stanisław Dąbrowski i mgr inż. Seweryn Mroczek. W tym roku minie właśnie 35 rocznica tej wyprawy.

Z Gdyni wypłynęliśmy 26 czerwca 1980 roku statkiem m/s Antoni Garnuszewski. Wraz z kolegą Sewerynem Mroczkiem płynęliśmy do stacji Hornsund, zabrawszy z sobą instrumenty geodezyjne i fotogrametryczne, w tym fototeodolit Zeissa 1318 z kompletem kaset i zapasem płyt fotograficznych szklanych, teodolit, niwelator, dalmierz elektroniczny Aga z dodatkowym akumulatorem 12 V, tyczki, łaty, szkicowniki, aparaty fotograficzne i drobny sprzęt oraz niemały bagaż osobisty zawierający odzież do pracy w warunkach polarnych. W Gdyni żegnali nas doc. Wojciech Krzemiński – dwukrotny kierownik wypraw polarnych na Antarktydę do Stacji im. A.B. Dobrowskiego, dr Jan Cisak, komandor Kowalewski i inni.

Rejs przez Bałtyk, cieśniny Skagerrak i Kattegat, Morze Północne, Lofoty, w pobliżu widocznej na trawersie Wyspy Niedźwiedziej, Morze Grenlandzkie i wreszcie (2 lipca) Spitsbergen, fiord Hornsund i Zatoka Białego Niedźwiedzia, gdzie statek zakotwiczył, a my widzieliśmy zabudowania Polskiej Stacji Polarnej. Łodzią przyplływają i wchodzą na pokład, witając nas, polarnicy z prof. Marianną Puliną, kierownikiem wyprawy, która kończy tu swój pobyt. Po powitaniu rozpoczyna się „mordercza” harówka przy rozładunku przywiezionego sprzętu,

wyposażenia, materiałów i żywności oraz paliwa do agregatów prądotwórczych i maszyn będących na wyposażeniu stacji. Zważywszy, że tu nie ma kei, że statek kotwaczy w odległości wielu dziesiątek metrów od linii brzegowej tzn. kamienistej plaży, szczęśliwie mało zalodzonej, a do przemieszczenia do stacji mamy wiele dziesiątków ton ładunku (w tym np. agregat prądotwórczy o mocy kilkadziesiąt kW i zapas paliwa kilkadziesiąt ton), zadanie nie jest łatwe. Statek woduje dwa pchacze – motorówki oraz zmontowane saperskie tratwy, które pozwalają umieszczać na nich kilkutonowe ładunki. To bardzo sprawne jak na te warunki środki umożliwiające transport ze statku na ląd. Dzięki aurze, która obdarzała nas słonecznym niebem przez 24 godziny na dobę, niewielkim falowaniem morza i niewielką ilością pływającego lodu, wyładunek (i załadunek kończącej pobyt wyprawy) trwał bez przerwy od 2 do 7 lipca.

Prace geodezyjne i fotogrametryczne w rejonie fiordu Hornsund

W czasie tej wyprawy, czyli od początku lipca do 9 września, oprócz wielu prac technicznych związanych z budową i urządzaniem bazy oraz jej funkcjonowaniem (co zajęło nam prawie połowę czasu pobytu) wykonaliśmy następujące prace geodezyjne i fotogrametryczne:

- Odnalezienie punktów osnowy (założonej m.in. przez W. Mizerskiego) oraz uzupełnienie tej osnowy stabilizacją nowych punktów tworzących w sumie sieć stanowisk fotogrametrycznych i fotopunktów do wykonania zdjęć czoła lodowca Hansa, a także zdjęć moreny czołowej i bocznej tegoż lodowca oraz stoków pasma gór Arikammen i Fugleberget. Pomiarzy dalmierzem Aga baz fotogrametrycznych oraz pomiary kątowe i niwelacyjne.
- Wykonanie zdjęć fotogrametrycznych fototeodolitem Zeissa 1318 strefy czołowej Lodowca Hansa oraz moreny czołowej i bocznej.
- Wykonanie zdjęć fotogrametrycznych stoków Arikammen i Fugleberget.
- Wykonanie pomiarów bazy i zdjęć fotogrametrycznych lodowca Hansa z cypla Wilkczekodden oraz z cypla Oceanografentangen.

Prace zostały wykonane w czasie kwaterowania w namiotach, a później w częściowo wykończonej części „letniej” głównego budynku stacji. Przez krótki okres prowadziliśmy prace, wykorzystując jako kwaterę domek traperski na cyplu Teskellodden (dotarliśmy tam łodzią przez fiord Hornsund i kwaterowaliśmy w zespole czteroosobowym przez wiele dni, praktycznie bez łączności ze Stacją w Hornsundzie, gdyż nasz radiotelefon UKF przy tym oddaleniu i oddzielających nas grzbietach skalnych i lodowcach był właściwie w strefie poza zasięgiem, w domku z elementów drewnianych zbudowanym przez grupę badaczy kilka lat wcześniej). Wykonaliśmy pomiary baz fotogrametrycznych (dalmierzem Aga) oraz wciąć wstecz na widoczne punkty na niektórych szczytach dla dowiązania osnowy fotogrametrycznej do układu geodezyjnego. Punkty osnowy były rozmieszczone wzdłuż skalistego cypla Treskellen.

Wykonaliśmy prace fotogrametryczne: zdjęcia czoła lodowców Chomikowbreen i Samarinbreen, a także zespołu lodowców z zamykającym fiord

czołem lodowca Hornbreen z kilku punktów na cyplu Treskellen (odnaleźliśmy tam punkt z kopcem z odłamków skał (wardę) założony przed laty przez Cezarego Liperta i wykorzystaliśmy go jako jedno ze stanowisk fototeodolitu).

Kolejnym rejonem, w którym prowadziliśmy nasze prace geodezyjne i fotogrametryczne, były tereny położone na przeciwległym brzegu fiordu nad Zatoką Gashamna. Tam mały domek traperski był naszym mieszkaniem i w tym rejonie przebywaliśmy kilka dni, w czasie których wykonaliśmy pomiar punktów osnowy i zdjęcia fotogrametryczne części równiny sandrowej w okolicy domku traperskiego i ruin stacji Konstantinowka oraz czoła lodowca Gasbreen. Dokonaliśmy rozpoznania sytuacji w okolicy jeziora okresowego leżącego na południowym brzegu jezora lodowca. Pogoda pozwalająca na wykonanie dalszych prac i niemożność oczekiwania na jej poprawę (przyplłynęliśmy tu na kilka dni i wykorzystaliśmy cały prowiant, a w ostatnich dniach pobytu zużyliśmy nawet bardzo przeterminowane zapasy konserw znalezionych w husie) skłoniły nas do powrotu, byliśmy bowiem oczekiwani w stacji (bo przecież przepadłyby nam dyżury w kuchni).

Inne prace

Ponadto wykonywaliśmy wiele różnych prac: dowiązanie do osnowy punktów pomiarów magnetycznych prowadzonych przez grupę z Krakowa, pomiary do badań środowiskowych, rozpoznanie terenowe lodowca Werenskiöld i jego moreny czołowej i środkowej, położenia stacji glaciologicznej na tym lodowcu, przejście lodowcem w górę przez Przełęcz Kosiby na lodowiec Hansa i zejście (pokonując szczeliny) do jego czoła, na morenę i powrót do stacji.

Ponadto jako członkowie grupy letniej bardzo często wspomagaliśmy ekipy budowlane, montażowe, naprawcze, porządkowe potrzebne stacji i zarządzane przez szefa wyprawy, a także pełniliśmy cykliczne dyżury kuchenne – prace przy przygotowaniu, podawaniu posiłków dla kilkudziesięciu osób (grupa zimowników liczyła 10 osób, grupa letnia naukowa – kilkanaście osób, grupa letnia techniczna – kilka osób), nie mówiąc o pracach wyładunkowych i załadunkowych w końcówce letniej wyprawy.

Z Zatoki Białego Niedźwiedzia, żegnając zimowników, odplłynęliśmy 9 września statkiem Łużyca (mały statek w sędziwym wieku, był to jego chyba ostatni pełnomorski rejs i jak mówią niektórzy marynarze, po powrocie idzie na zyletki, tzn. na złom). O tym rejsie można by napisać powieść z opisami sztormów, awarii, morskiej choroby, towarzystwa delfinów, marynarskich opowieści, ale również atrakcji, na przykład wynikających z wejścia do Hammerfestu (12 września 1980 roku), norweskiego portu położonego blisko przylądka Nord, ale również nie tak daleko od Narviku. Hammerfest opuściliśmy 13 września około godz. 19.00. Dnia 22 września w nocy o godz. 00.40 zacumowaliśmy przy Wałach Chrobrego w Szczecinie. Koniec wyprawy. Rano przyjechał po nas kolega polarnik Jan Cisak i pan Józef, kierowca samochodu Nysa.

Przywiezione do IGiK materiały fotogrametryczne – naświetlone negatywy zdjęć – to oprócz wyników pomiarów kątowych, niwelacyjnych i dalmierzcych plon naszej wyprawy. Warto tu jeszcze wywołać w pamięci pewną nacechowaną emocjami sytuację. Otóż klisze fotogrametryczne powierzyłem pracownikom pracowni fotograficznej IGiK. Po pewnym czasie przyszedł do mnie pewien „fotograf” i powiedział: „na następną wyprawę powinieneś zabrać z sobą fotografa, bo twoje zdjęcia wszystkie są prześwietlone i po wywołaniu każdy negatyw jest jednolicie czarny”. Jakie stężenie wywoływacza zastosowałeś? Niemal wykrzyknąłem to pytanie. Do cienkowarstwowych fotograficznych płyt szklanych z wysokorozdzielczą emulsją stężenie wywoływacza Rodinal powinno być kilkadziesiąt razy mniejsze niż do zwykłych klisz fotograficznych! Zdałem sobie sprawę, że ten człowiek o tym nie wiedział. W ciemni stwierdziłem, że „wywołał” tylko dwie płyty i przybiegł do mnie, aby uświadomić mi, że bez niego ani rusz. Przygotowałem własnoręcznie odczynniki: wywoływacz, wodę, utrwalacz. Wyjąłem z kasety niewywołaną płytę i zanurzyłem w wywoływaczu, po kilku minutach był efekt: pięknie naświetlony, ostry negatyw z wyraźnie odwzorowanymi szczegółami fotografowanych obiektów. Zażądałem, aby pozostałe moje zdjęcia z fototeodolitu wywołał i utrwalił pan Henryk Chodźko, ponieważ już kiedyś to robił i na tym się znał. Tak niewiele brakowało... Wszystkie zdjęcia były dobre.

Muszę tu zaznaczyć, że jestem niezmiernie zobowiązany doc. Wojciechowi Krzemińskiemu, dr Janowi Cisakowi i doc. Jerzemu Jasnorzewskiemu za to, że skłonili mnie do tej wyprawy. Pełen uznania i wdzięczności za to, że chciał mi towarzyszyć w tej wyprawie wspominam mojego towarzysza, kolegę i przyjaciela Seweryna Mrocza, kapitalnego fachowca, uczciwego, mądrego człowieka i dzielnego polarnika. Niestety udał się on już na wyprawę, z której nie ma powrotu.

Wyprawa Spitsbergen 1987/1988 (roczna)

Wyprawa Spitsbergen 1987/1988 była X Wyprawą PAN organizowaną przez Zakład Badań Polarnych i Morskich Instytutu Geofizyki PAN. Kierownikiem wyprawy był Stanisław Dąbrowski (dr inż. geodeta fotogrametra z Instytutu Geodezji i Kartografii). To już trzecia wyprawa na Spitsbergen kierowana przez pracownika IGiK (1983/1984 – Jan Cisak, 1981/1982 – Witold Mizerski).

Mija właśnie 28 lat, kiedy oddelegowany z IGiK do Zakładu Badań Polarnych i Morskich Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk podjąłem i prowadziłem tam prace związane z przygotowaniem kolejnej całorocznej wyprawy polarnej na Spitsbergen. Przygotowania dotyczyły zarówno uzgodnienia zakresu tematów i zadań naukowo-badawczych dla wyprawy, skompletowania kadry grupy zimującej oraz kadry grupy technicznej na okres lata, jak i uzgodnienia zakresu zadań technicznych, transportowych i spraw finansowych. Kompletując skład osobowy, który miał zapewnić realizację całorocznego programu zadań badawczych i technicznych oraz funkcjonowania stacji w Hornsundzie i analizując zakres tych prac, przewidywałem, że zadania wynikające z mojego kierunku

badawczego trudno mi będzie w pełni zrealizować, pełniąc jednocześnie funkcję kierownika wyprawy i stacji. Przedstawiając program i plan realizacji, wniosko- wałem do dyrekcji Instytutu Geofizyki o zgodę na udział drugiego uczestnika o specjalności geodezji i fotogrametrii. Uzyskując akceptację, mogłem zapropo- nować udział w zimowaniu na Spitsbergenie Zdzisławowi Kurczyńskiemu, dok- torowi z Politechniki Warszawskiej, który podjął się tego zadania.



Stoją: Sławomir Wiktorowicz (meteorolog), Kajetan Zielkowski (jonosferyk), Kazimierz Zając (mechanik), Jacek Gryś (radiooperator), Tadeusz Pelczar (meteorolog), Zdzisław Kurczyński (fotogrametra). Siedzą: Romuald Biernat (lekarz), Krzysztof Makowski (sejsmolog), Stanisław Dąbrowski (kierownik, geodeta), Janusz Kida (badania środowiskowe, permafrost), Jacek Hoffman (magnetyk)

Zadania naukowo-badawcze tej wyprawy skupiały się na kontynuacji badań prowadzonych przez wiele lat. Były to obserwacje i pomiary meteorologiczne i klimatologiczne prowadzone bez przerwy przez okres funkcjonowania stacji w Hornsundzie (S. Wiktorowicz i T. Pelczar). Do permanentnych zadań obserwacyjnych i pomiarowych należało prowadzenie pomiarów magnetyzmu ziemskiego (J. Hoffman), a także badań jonosfery (K. Zielkowski). Również obserwacje i rejestracje sejsmograficzne (K. Makowski) należały do zadań ciągłych i obejmowały m.in. rejestracje wskazań kilku sejsmografów rozmieszczonych w okolicy Zatoki Białego Niedźwiedzia. Prowadzono też rejestrację wskazań układu pomiarowego związanego z badaniem elektryczności atmosfery; pomiary i obserwacje obejmujące badanie stanu i dynamiki wieloletniej zmarzliny (permafrost) oraz rejestracje zespołu czynników określających stan środowiska naturalnego w wybranych obszarach w okolicy stacji. Zadaniem badawczymi,

które absorbowwały dr. Z. Kurczyńskiego i mnie, były pomiary geodezyjne i fotogrametryczne stanu stref czołowych lodowców, przede wszystkim tych wokół fiordu Hornsund. Dr Janusz Kida (z Wydziału Geografii Uniwersytetu Wrocławskiego), który był jednocześnie moim zastępcą, czyli wiceszefem wyprawy, prowadził prace badawcze związane z badaniami permafrostu oraz z badaniami środowiskowymi, tensometryczne pomiary naprężeń gruntu, badania zjawisk eolicznych i ich skutków. Dla funkcjonowania stacji i jej załogi bardzo ważnymi kierunkami działań było utrzymanie w ruchu głównego źródła energii zapewniającej ciepło, działanie aparatury i łączność ze światem. Tę łączność umożliwiała radiostacja typu morskiego pracująca w paśmie krótkofalowym, obsługiwana przez operatora Jacka Grysa. Głównymi kierunkami utrzymania łączności były: Zakład Badań Polarnych i Morskich IGF PAN w Warszawie, Biuro Gubernatora Svalbardu mieszczące się w Longyearbeen na Spitsbergenie, kierownictwo Arktikugol – czyli radzieckiego przedsiębiorstwa mieszczącego się w miejscowości górniczej Barentsburg na Spitsbergenie, morskie jednostki pływające żeglujące w pobliżu i w fiordzie Hornsund, które chciały lub potrzebowały połączyć się z naszą stacją, pośrednie połączenia prywatne uczestników wyprawy z osobami (rodzinami) w Polsce, łączność z pilotami helikopterów norweskich i radzieckich przemieszczających się w okolicy naszej stacji lub lądujących i goszczących u nas. Oczywiście każdy uczestnik wyprawy udający się w teren na odległość większą niż kilkadziesiąt, kilkaset metrów był zobowiązany zabrać ze sobą radiotelefon UKF, co umożliwiało kontakt ze stacją. Ponadto wszyscy zostali przeszkoleni i obeznani z obsługą broni palnej, którą też każdy oddalający się od stacji zabierał z sobą – to wymagania regulaminu uczestnika wyprawy i mieszkańca stacji. Ta broń to strzelba myśliwska z nabojami typu breneq oraz pistolet sygnałowy „rakietnica” z nabojami świetlnymi. Bardzo ważną funkcję związaną z dbałością o stan zdrowia uczestników wyprawy spełniał lekarz Radek Biernat, chirurg, członek wyprawy. Za energetykę i mechanikę stacji odpowiadał i doskonale sobie radził elektromechanik o bogatym doświadczeniu polarnym i morskim Kazimierz Zajac. Wszyscy pełniliśmy dobowe dyżury kuchenne i przeciwpożarowe, dbając o stan budynku stacji, stan zapasów żywności i przygotowując główne posiłki.

Rozładunek około 150 ton to była mordercza praca dla wszystkich tzn. dla naszej wyprawy, wyprawy Grzegorza Gregorczyka kończącej pobyt i dla załogi statku Perkun Polskiego Ratownictwa Okrętowego, którym przyплыliśmy do Hornsundu. Znaczącą częścią tego ładunku były elementy oczyszczalni ścieków, którą miała budować tu na użytek stacji grupa specjalistów. Wyładunek i transport przybierały chwilami dramatyczny przebieg, ale wszystko się udało. Nikt nie poniósł większej szkody, bo niedostatek snu i bóle nadwyrężonych mięśni czy odciski zaliczmy do drobiazgów. Ta praca trwała bez przerwy trzy doby. Potem rejs do fiordu Bellsund i tam również wyładunek bagażu wyprawy lubelskiego UMCS kierowanej przez doc. Kazimierza Pękałę, który nas gościł w swoim „gospodarstwie” (ale nie mamy na to wiele czasu), potem jeszcze króciutka

wizyta w innym miejscu fiordu, gdzie przekazaliśmy ładunek oczekującej nań niecierpliwie wyprawie Uniwersytetu Warszawskiego.

Wadliwie (a może złośliwie?) sformułowana umowa czarterowa spowodowała, że według kapitana Perkuna z chwilą rozładunku statku pełnym dysponentem i realizatorem umowy był on – kapitan, a z kalendarza wynikało, iż aby się z niej wywiązać, nie zdążymy złożyć wizyty w Barentsburgu i w Longyearbeen. Łączność z Warszawą nic nie wniosła. A więc „obciach”!

Chciało mi się „wyć”, kiedy wysadziliśmy na morzu u wejścia do Isfiordu prof. Stanisława Siedleckiego, który gościł w stacji, a teraz potrzebował się dostać do Longyearbeen. Wsiadł do swojej łódki i z towarzyszącym mu traperem Markiem Zajackowskim odpłynęli na małym silniczku w mgłę fiordu. Hańba!

Prace geodezyjne i fotogrametryczne wykonywane podczas wyprawy Spitsbergen 1987/1988

Moje obowiązki kierownika wyprawy bywały absorbujące, ale niezawodny okazał się kolega Zdzisław Kurczyński, który zawsze był gotowy do pracy zarówno w terenie, jak i w ciemni fotograficznej, dzięki czemu płyty zdjęć z fototeodolitu wywoływane były najczęściej tuż po naświetleniu. Stwarzało to ten komfort, że w przypadku jakiegokolwiek pomyłki lub wady negatywu można było w niedługim odstępie czasu powtórzyć wykonanie zdjęć.

Co kilka tygodni powtarzaliśmy zdjęcia czoła Lodowca Hansa z baz położonych na Cyplu Baranowskiego i z Cypla Wilczka. Ponadto zdjęcia lodowca wykonywaliśmy z kilku innych stanowisk. Na jezorze Lodowca Hansa założyliśmy sygnalizowaną m.in. tyczkami, poprzeczną w stosunku do jego spływu wielopunktową linię i okresowo mierzyliśmy i fotografowaliśmy zmiany położenia tych punktów, które wynikały z powolnego spływu lodowca. Rejestrowaliśmy szczegółowo, z bliska, z różnych stanowisk fragmenty stromego czoła lodowca schodzącego do morza.

Powtórzyliśmy i rozszerzyliśmy program prac fotogrametrycznych w porównaniu z wyprawą z 1980 roku w rejonie cypla Treskellen, szczególnie jeśli chodzi o część lodowca zamykającego Brepollen od strony północno-wschodniej. Wykonaliśmy zdjęcia czoł lodowców Samarbreen i Chomiakobreen.

W składzie trzyosobowym, bo towarzyszył nam meteorolog Sławek Wiktorowicz, przez kilka dni przebywaliśmy na cyplu Gnalodden, docierając drogą przez lodowiec i góry, i mieszkając tam w domku traperskim. Wykonaliśmy pomiary i zdjęcia fotogrametryczne z bazy na skutej lodem zatoce Burgerbukta stref czołowych lodowców Paierlbreen i Muhlbacherbreen, a także czoła i otoczenia lodowca Koerberbreen położonego po drugiej stronie fiordu. Musieliśmy wracać tuż po bardzo obfitym opadzie śniegu po zamarznętej powierzchni fiordu. Mieliśmy ciężkie bagaże osobiste, instrumenty, statywy i jedne niewielkie sanki. Ciągnąc i pchając sanki, brnęliśmy w śniegu. Droga trwała kilka godzin, śnieg był bardzo ciężki do marszu na nartach, bez nart prawie nie do przebycia. Po dotarciu do cypla Oceanografertangen solidnie zmęczeni postanowiliśmy część

naszego bagażu zostawić w szczelinach skalnych i pójść na nartach „na lekko”. Musieliśmy jednak się śpieszyć, bo do brzegu w okolicach bazy było jeszcze ponad kilometr, a od strony morza do fiordu wdzierła się coraz głębiej mocniejsza fala sztormowa łamiąca pokrywę lodową. Jakakolwiek zwłoka mogła więc skończyć się załamaniem się lodu pod nami, co nie dawałoby nam żadnych szans przeżycia. Byłem bardzo zmęczony, chyba najbardziej z naszej trójki, a do tego wiązanie mojej biegówki często się odpinało, a czasu na naprawę nie było. Do stacji dotarliśmy zmęczeni, a ja wręcz „wykończony”. Gdy wszedłem do naszej świetlicy, poprosiłem kogoś z kolegów, żeby mi przyniósł butelkę wody mineralnej. Zrobił to i przyniósł mi zieloną butelkę (może niechcący, a może jednak pamiętał, że ja powtarzałem nieuzasadniony niczym mit, iż woda w zielonych butelkach jest lepsza). Ta woda przywróciła mi życie. Sławek i Zdzicho nie doceniali moich przeżyć, chyba nie spostrzegli sytuacji związanej z postępującym niszczeniem pokrywy lodowej fiordu przez silne fale od strony morza, a ponadto byli młodszy, silniejszy. Kiedy po kilku dniach chłopcy pojechali skuterem po nasze bagaże, okazało się, że w międzyczasie zostały one „skontrolowane” przez niedźwiedzie (bo to one były tu u siebie, a nie my), ale nieuszkodzone, oprócz butów, które miał w bagażu Zdzicho, a właściwie jednego buta typu „himalaje”, na którym miś zostawił głębokie dziury – ślady swoich zębów, ale widocznie uznał, że choć są skórzane to nie nadają się do jedzenia. Radziłem Zdzichowi, żeby pokazywał ten but w Polsce, zwłaszcza młodym amatorom polarnictwa, i opowiadał, jak to walczył wręcz z niedźwiedziem, czego dowodem są te ślady zębów na bucie. Ale podobno w Warszawie buty Zdzichowi zginęły w niewyjaśnionych okolicznościach.

Prace na morenie i czole lodowca Werenskioldbreen wykonywaliśmy, goszcząc kilka dni w budynku stacji Uniwersytetu Wrocławskiego. Była piękna pogoda. Pracowaliśmy po kilkanaście godzin dziennie, wykonując zdjęcia nasłonecznionych wałów moreny czołowej i lodowego jezora lodowca wraz ze spływającym „zagonem” moreny środkowej, a także zdjęcia części czoła lodowca Torella zalodzonej zatoki Skoddebukta i dolnej części doliny Brattega. To tam któreś nocy miałem mocny i długi sen, a obudzwszy się, zauważyłem, że moje wąsy mają kilka centymetrów grubości, liczne odgałęzienia i są białe. Był to szron, który pochodził z mojego oddechu. Usypiałem w temperaturze dodatniej, spałem długo, domek się wychłodził. Wracaliśmy przez lodowiec, Przełęcz lodową Kosiby i lodowcem Hansa dwoma skuterami Buran (produkcji radzieckiej, które tym razem nas nie zawiodły) z doczepionymi saniami.

Prowadziliśmy również nasze prace w rejonie Gashamny w terenie na przedpolu lodowca i moreny Gasbreen, na stokach Ariekekammen i Fugleberget, na wybranych fragmentach tundry i otoczenia zabudowań stacji. Nie zakończyła się sukcesem próba założenia prowizorycznego „mareografu” w celu wyznaczenia średniego poziomu morza, a to wskutek nieporozumienia z meteorologami, którzy wybrali moment demontażu urządzenia z limnigrafem samopiszącym bez uzgodnienia terminu prac pomiarowych (niwelacja).

Ważnym elementem wyprawy było przybycie wiosną grupy studentów z Wydziału Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej pod kierunkiem dr. inż. Ryszarda Preussa i dr. inż. Andrzeja Pachuty. Założyli oni kilka punktów (trwała stabilizacja) na różnych utworach skalnych otoczenia fiordu Hornsund i pomiarami kątowymi oraz liniowymi powiązali je z sobą w „sztywny” układ, który służył do okresowych badań ewentualnych zmian geometrii tego układu i stąd wnioskowania o ruchach poziomych oraz pionowych tych skał. Grupa mieszkała w letniej części bazy, a jej prace odbywały się przy pomocy i współudziale zimowników. Także oni uczestniczyli w naszych zadaniach, np. prace fotogrametryczne na przylądku Gnalodden dokończyliśmy w maju ekipą w składzie R. Preuss z wyprawy PW oraz Z. Kurczyński i ja – zimownicy. Takich powiązań było więcej.

Inne problemy i poczynania

Należy wspomnieć, że latem podczas tej wyprawy ekipa budowlano-montażowa wybudowała zespół urządzeń zwany oczyszczalnią ścieków, mającą ścieki doprowadzać do takiego stopnia czystości, który umożliwiałby ich wylewnie na tundrę bez szkody dla niej. Oczyszczalnię wybudowano i uruchomiono, nowa elektronika migła kolorowymi lampkami, pracowały jakieś wirniki i zasiedliły się pożyteczne bakterie, ale skończyło się arktyczne lato i bardzo dumna ze swojego dzieła ekipa wyjechała. Przyszły mrozy i oczyszczalnia coraz bardziej szwankowała. Wtedy nasz energetyk Kazio powiedział: mówiłem tym specjalistom, że jak elektronika dostanie -5 stopni Celsjusza, to zabłyszczą nam wszystkie kolorowe lampki, po czym zgasną i całe urządzenie też. I tak było, przerabialiśmy po swojemu, upraszczając niektóre zespoły systemu, i regularnie odkuwaliśmy z lodu wypływ treści oczyszczalni. To nie był sukces, chociaż autorzy projektu chwalili się w mediach krajowych swoim wspaniałym dziełem, nas nikt nie pytał o zdanie, a moje krytyczne uwagi w comiesięcznych sprawozdaniach w Warszawie uznawano za „chorobę polarną”.

Tak samo oceniono moje „przestępstwo” polegające na tym, że dobrałem się do tzw. żelaznych zapasów stacji i kilku z nas nosiło kurtki puchowe, które miały tam leżeć „żeby nie wiem co”. Tłumaczyłem Warszawie, że te zapasy są właśnie po to, aby w sytuacjach ekstermalnych (niekoniecznie pożaru trawiącego stację, ani wielkiego meteorytu uderzającego w stację) można było z nich korzystać, a sytuacje bardzo trudne i niebezpieczne dotknęły zwłaszcza tych spośród nas, którzy wiele godzin przebywali na otwartym terenie podczas zimowych arktycznych mrozów. Co prawda każdy z nas dostał w wyposażeniu kurtkę puchową jeszcze w Warszawie, ale gdy nadeszły duże mrozy, okazało się, że te kurtki nie spełniają swojej roli ze względu na właściwości termoprzepuszczalne, krój i zapięcia, co, w odwecie na zarzuty Warszawy, my nazwaliśmy „sabotażem”, a może nawet „zamachem” na nasze zdrowie i życie, za które odpowiedzialny był pracownik Zakładu Badań Polarnych. Ale właściwie to było normalne, po prostu taka mała Ojczyzna.

Musieliśmy pogodzić się z sytuacją, kiedy okazało się, że ten, który dbał o nasze zdrowie sam jest chory i musi poddać się leczeniu szpitalnemu. Nasz lekarz Radek opuścił stację helikopterem norweskim 10 lutego, udając się, niestety, do szpitala w Longyearbeen, co stało się po wizycie na naszą prośbę lekarza i w wyniku postawionej przez niego diagnozy. Przez radio dowiadywaliśmy się o jego zdrowie, po badaniach Radek opuścił szpital i wrócił do Polski. Zostaliśmy bez lekarza. Nowy lekarz Jurek Gieorgijewski przybył do stacji 18 marca i podjął swoje obowiązki. Tego samego dnia żegnaliśmy się z naszymi przyjaciółmi alpinistami, którzy odlatywali helikopterem z Rosjanami.

Pozyskiwanie wody, zwłaszcza tej spożywczej, a także do mycia i prania nie było zadaniem banalnie prostym. Wiercenie studni w obszarach permafrostu mija się z celem. Zależnie od pory stosowaliśmy różne metody. W okresie letnim dobrze nam służył naturalny zbiornik słodkiej wody – jeziorko położone w pobliżu stacji. Stamtąd beczkowozem przywoziliśmy dobrą czystą wodę i napełniliśmy nasz rezerwuar stacyjny. Ale silne mrozy szybko pokryły jeziorko lodem, i to coraz grubszym (na tej lodowej tafli wygładzonej przez silny wiatr miałem wypadek, który skutkowało koniecznością unieruchomienia mojego stawu barkowego na wiele tygodni). Całe życie biologiczne tego płytkiego jeziorka działa się w strefie niezamarzniętej i było coraz bardziej zagęszczone. Gruba warstwa lodu uniemożliwiała napowietrzenie wody i to życie obumierało; pojawiały się beztlenowce, woda szybko stawała się niebezpieczna dla nas. Obmyślono cały system zgarniania śniegu i ładowania go do zbiornika. Roztopiony śnieg dawał czystą wodę, choć nie zawsze czystą, bo czysty śnieg był daleko od bazy, a ten w pobliżu zawierał w sobie roznoszone przez wiatr substancje pochodzące z rury wydechowej naszego bez przerwy pracującego agregatu. Śnieg należało więc transportować z odległych rejonów. Dobrej wody dostarczały bryły lodu pływające w fiordzie pochodzące z cielącego się lodowca. Lód lodowcowy był czysty i nadawał się do konsumpcji (jak twierdzili niektórzy światowcy, za szklaneczkę whisky z lodem z lodowca płaci się w najlepszych barach o wiele więcej niż wynosił nasz dzienny „dodatek dewizowy”, tyle daje smaku i wrażeń trzaskający w szklance lód, którego naprężenia powstałe w wyniku długowiecznego sprasowania w dziesiątki metrów grubej warstwie lodowca ulegają rozprężeniu w obecności roztopiającego je trunku). Tyle, że łowienie tych brył i ich transport do budynku były bardzo uciążliwe, zależne od stanu morza i aktywności lodowca. Niby to tylko woda, ale woda to właśnie życie. Stosując różne warianty, dawaliśmy sobie radę, choć często nie bez dużego wysiłku.

Nasi goście i my w gościach

Najważniejszym gościem, który odwiedził naszą stację w Hornsundzie, był gubernator Svalbardu pan Leif Eldring wraz z małżonką i asystującym mu urzędnikiem. Działo się to 11 czerwca 1988 roku. Do fiordu wszedł nowy statek gubernatora Polarssyssel wyposażony w helikopter. Helikopter przywiózł do stacji te trzy ważne osobistości. Powitaliśmy gości, zaprosili do świetlicy, poczęstowa-

liśmy ich kawą, szampanem oraz ciastami i słodyczami, gdyż na bardziej treściwy posiłek nie mieli ochoty. Rozmawialiśmy, następnie odbyliśmy spacer na Cypel Wilczka i na teren bazy. Goście zwiedzili agregatornię i warsztat, gdzie naprawiana była łódź, interesowali się naszymi psami. Potem jeszcze krótki spacer, a następnie znowu w świetlicy gubernator wpisał się do księgi pamiątkowej. Zrobiliśmy zdjęcia. Pożegnania i drobne prezenty, po czym odprowadziliśmy gości do helikoptera. Przemieścili się na Polarsysssel i odплыli. To była krótka i zdawałoby się zdawkowa, ale ważna dla nas wizyta.

Polska Stacja Polarna Horsund działająca pod protektoratem gubernatora Svalbardu ma zasłużoną renomę „Polskiego Domu pod Biegunem”, domu otwartego dla każdego, kto chce lub potrzebuje tu gościć. Ta utrzymująca się fama przyciągała do nas zarówno uczestników wycieczek turystycznych (np. statek *Plancjus*), jak i małe grupy śmiałków i żeglarzy, którzy mieli potrzeby i ambicje dotknięcia Arktyki. Korzystają z tego miejsca również służby gubernatora. Przede wszystkim gościliśmy tu nieraz różne grupy naukowe polskie, norweskie, rosyjskie oraz osoby związane z eksploracją polarnych obszarów, ale przybywające tu prywatnie. Gościła u nas wspomniana już wyprawa studencka z Politechniki Warszawskiej, a także przybyła żaglowcem Oceania wyprawa Instytutu Oceanologii.

Zimą, pod koniec lutego przybyła do nas grupa polskich alpinistów. Przyszli na nartach, ciągnąc za sobą dość ciężkie bagaże umieszczone na sankach zwanych „pulkami”, pokonując polarną nocą około 200 km przez góry, fiordy i lodowce. Chociażby za to można było ich podziwiać. Ale ich głównym celem było wejście zimowe na szczyt Hornsundtind – najwyższy w okolicy, jak dotąd nie zdobyty zimą. Powitaliśmy ich serdecznie i z radością. Wśród nich byli „starzy” znajomi z polarnych wypraw: Jacek Jezierski, kierownik ich wyprawy, Zbyszek Pietroń, a także inni doświadczeni alpiniści, jak np. Michał Kochończyk, Krzysztof Paul, Sławek Bartkowski – wszyscy z Gdańskiego Klubu Wysokogórskiego, tylko Zbyszek Pietroń z Krakowa. Urządziliśmy dla nich miejsca do spania w części przyległej do magazynu, a potem rozmawialiśmy o ich drodze z *Longyearbeen* i zamiarach wspinaczkowych, o przygodach i wielu innych sprawach, wspomogliśmy w leczeniu różnych ran po odbytym marszu i w naprawach sprzętu, a zwłaszcza pulek, które pozdzierały się podczas wielodniowej wędrówki. Po odpoczynku goście włączyli się w rytm naszych dyżurów i w przygotowywanie posiłków. Najchętniej przebywaliśmy w świetlicy, gdzie przy herbacie, kawie a czasami lampce jakiegoś trunku żartowaliśmy, snuliśmy różne opowieści, odkrywając wspólnych znajomych; a głównie to my ich słuchaliśmy, poznając się coraz lepiej. Była to bardzo fajna atmosfera, nam, zimownikom po długim odosobnieniu ta ich wizyta bardzo dobrze zrobiła, wpłynęła na nastroje i samopoczucie. Pomogliśmy im w planowaniu i przygotowaniu wyjścia na wspinaczkę, w naprawie nadwyreżonych elementów ich wyposażenia. Bardzo cenną pomoc wniósł tu nasz Krzysiek Makowski, bo wiedział, jak naprawić zdarte pulki, a do tego miał ze sobą odpowiednie odczynniki i po jakimś czasie ich pulki były lepsze niż nowe. Poszli przez fiord do Gashamny, a stamtąd rozpoczęli wspinaczkę,

dzieląc trasę na odcinki. Byli bardzo blisko celu. Pokonał ich, o ile wiem, nieprzewidzianej grubości „szron” osiadający od wielu lat na nagiej skalnej ścianie szczytu. Taka ściana nie pozwala na wbicie haków ani śrub lodowych, w miejscu styku z obcym materiałem kruszy się na mialki proszek, a to nie pozwala powierzyć tak umieszczonej – bo nieumocowanej – śrubie nawet małego obciążenia. Ten ostatni odcinek to było zaledwie kilka czy najwyżej kilkanaście metrów. Byli mądrzy i odpuścili. Dzięki temu żywych i zdrowych mogliśmy znowu gościć w naszej bazie. Witalem ich, mówiąc, że dobrze jest mieć pełne wejście zimowe na szczyt Hornsundtind przed sobą, ma się wtedy w planie więcej przyszłych sukcesów i przekonanie, że warto tu znowu przyjechać. Jak wspomniałem, opuścili nas 18 marca.

W okresie lata kilkakrotnie gościliśmy polarników rosyjskich oraz pilotów ich śmigłowców, którzy tu w rejonie Revdallen i nad Goshamną mają swoje zadania badawcze. Złożyła nam też wizytę delegacja radziecka z przedstawicielami badaczy polarnych i szefem tej grupy Zingierem. Interesowali się wszystkim, robili zdjęcia, czego się da, rozmawialiśmy o łączności radiowej, o lotach i transporcie śmigłowcowym. W podarunku przywieźli nam świeży, pachnący, wspaniały w smaku chleb. Rzadko taki jedliśmy, bo najczęściej korzystaliśmy z długowiecznego chleba baltonowskiego, który mieliśmy w zapasach. My obdarowaliśmy ich wieloma drobiazgami. Zingerowi najbardziej podobał się prezent w postaci wieńca z rolek papieru toaletowego, bo mówił, że właśnie mu się kończy zapas w Barentsburgu. Butelka dobrego alkoholu też nie była dla nich prezentem niemiłym.

Statek Oceania to żaglowo motorowy statek Instytutu Oceanologii z Gdańska. Pierwszy raz widzieliśmy go, kiedy doszło do spotkania naszego Perkuna z Oceanią na Morzu Północnym, nawiązaliśmy łączność radiem, ale były również sygnały syren obydwu jednostek. Oni płynęli z wyprawą oceanologów kierowaną przez dr. Ryszarda Siweckiego. Mieliśmy szczęście gościć Oceanię w Zatoce Białego Niedźwiedzia. Grupa badawcza i marynarze gościli w naszej stacji, a czas tej wizyty upłynął nam bardzo przyjemnie. Oni po prostu byli wesołymi i sympatycznymi ludźmi. Urządziliśmy przyjęcie, był poczęstunek, rozmowy i ciekawe opowieści, była muzyka (akordeon, gitara) były śpiewy znanych nam i pierwszy raz od naszych gości słyszanych piosenek i pieśni. Jak mi powiedział kapitan M. Marzec, kompletując załogę Oceanii w rozmowach z kandydatami padały pytania o umiejętność gry na instrumentach muzycznych i śpiewu. Na Oceanii umieli śpiewać wszyscy. Mieliśmy możliwość zwiedzić ich statek i jego urządzenia zarówno nawigacyjne, jak i te służące prowadzonym badaniom. Tu ciekawostka, statek miał specjalnie wbudowany pomost o ażurowej konstrukcji, który pozwalał na instalowanie na nim kamer fotogrametrycznych i wykonywanie zdjęć stereoskopowych powierzchni morza, obiektów przyrodniczych, utworów lodowych itp. Ta sympatyczna znajomość z oceanologami z Gdańska zaowocowała umożliwieniem mi i naszej wyprawie dopełnienia obyczaju składania przez nową załogę wizyty u protektora naszej stacji gubernatora Svalbardu w Longyearbeen oraz u polarników i górników radzieckich w Barentsburgu, bo-

wiem zarówno dr Siwecki, kierownik wyprawy oceanologów, jak i kapitan Marek Marzec, mając w planie wizytę w tych miejscach, zaproponowali abym z innymi przedstawicielami mojej wyprawy udał się ich Oceanią. Było to wspaniałe wyjście, nie mówiąc o atrakcji płynięcia piękną Oceanią. Bardzo dużo można by opowiadać o tych wizytach, ale najważniejsze było to, że przedstawiliśmy się gubernatorowi, zwyczajowo złożyliśmy mu imienną listę uczestników wyprawy, wymieniliśmy grzeczności, spośród których należy podkreślić wypowiedź gubernatora o dobrych stosunkach z Polską Stacją Polarną w Hornsundzie. Wizyta w Barentsburgu pozwoliła na przedstawienie się szefowi radzieckich ekip glaciologicznych Zingerowi. Niestety, nie zastaliśmy konsula, bo akurat w tym czasie witał na lotnisku w Longyearbeen ważną delegację z Moskwy. Przez sympatyczną urzędniczkę przekazaliśmy pozdrowienia, a kapitan M. Marzec zaprosił do odwiedzenia Oceanii (która kokieteryjnie w pełnej krasie rozpiętych żagli weszła do portu, wzbudzając podziw i zachwyt miejscowych). Zinger woził nas swoim samochodem, odwiedziliśmy nowy środek rekreacyjny z dużym basenem, ale jeszcze bez wody, zwiedzaliśmy ekspozycje w miejscowym muzeum gdzie dowiedzieliśmy się, że przed Barentsem Spitsbergen odkryli i odwiedzali Pomorcy (rosyjski lud z rejonów nadmorskich), wymieniliśmy informacje i poczyniliśmy ustalenia co do korespondencji radiowej z Barentsburgiem. Po tym wszystkim spotkaliśmy się jednak z konsulem Jurgensem, który dał się zaprosić na Oceanię, gdzie kapitan wydał małe przyjęcie, co wprowadziło konsula w doskonały nastrój. Poznaliśmy kilku spotkanych przypadkowo Rosjan. W drodze powrotnej wstąpiliśmy jeszcze do Bellsundu do Kazia Pękali. Z załogą wyprawy i statku, z Oceanią pożegnaliśmy się 8 sierpnia po krótkim przyjęciu w stacji wypełnionym toastami, śpiewami kaszubskich i innych piosenek oraz wzruszeniami. Kontakt z ludźmi z Oceanii zostawił nam wspaniałą bagaż wspomnień, ludzkich emocji, z którego nie raz korzystaliśmy w czasie naszego zimowania.

Gościliśmy też archeologiczną wyprawę norweską z udziałem Polaków J. Chochorowskiego i polskiego emigranta M. Jasińskiego. Dokumentowali ślady wielorybnictwa, myślistwa i traperstwa w tym rejonie. Zaprzyjaźniliśmy się i trochę ich wspomagaliśmy w ich pracach i zakwaterowaniu.

Chociaż w kilku słowach warto wspomnieć kontakty i goszczenie norweskiej wyprawy (szefem był Jan) badającej populację niedźwiedzi. Badali je, wazyli i mierzyli, kwaterując w husie na Gnalu, ale bywali również u nas. Bardzo sympatyczni ludzie. Na Spitsbergenie pracowali około Wielkanocy.

Paradoksalną wydawała mi się moja osobista sytuacja, która polegała na tym, że w listopadzie przylecieli do nas Norwegowie z Longyearbeen i przywieźli mi zaproszenie od konsula radzieckiego w Barentsburgu na uroczystości związane z rocznicą rewolucji (radzieckie święto państwowe) urządzane przez konsulat radziecki i przedsiębiorstwo Arktikugol w Barentsburgu. Mało tego: funkcjonariusze gubernatora Svalbardu przekazali mi zapewnienie, że norweskimi środkami mogę zostać przetransportowany do Longyearbeen, tam otrzymam miejsce w hotelu, a także będę mógł rozmawiać z gubernatorem, po czym w odpowiednim momencie statek gubernatora PolarStar zawiezie mnie do Barents-

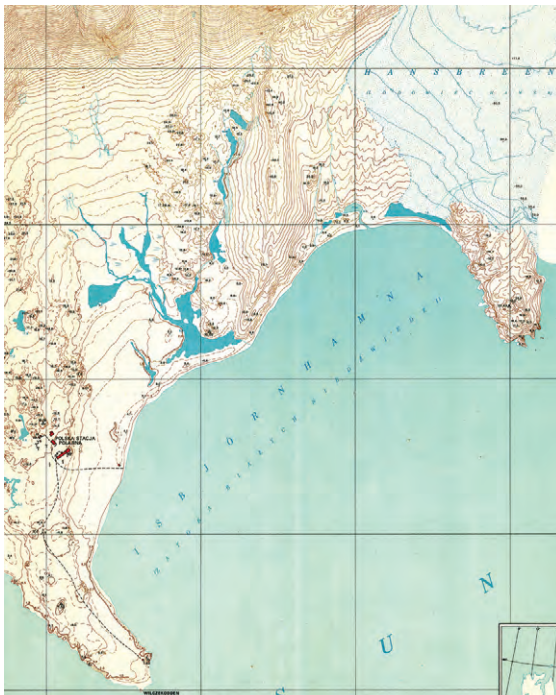
burga, a stamtąd po uroczystościach będę miał zapewniony powrót do stacji w Hornsudzie przez Norwegów!? Życzliwi koledzy zimownicy radzili mi: „Ty się zastanów, to wszystko zbyt różowo wygląda”. Przekazałem pełne pełnomocnictwa mojemu zastępcy Januszowi i poleciałem z Norwegami (to już była atrakcja, nocny lot nad Spitsbergenem). Jasnych godzin w ciągu doby było już teraz niewiele. Wszystko było tak jak nakreślili mi to Norwegowie, z tą niespodzianką, że jako gość gubernatora dostałem jeszcze dietę w gotówce. Płynąc statkiem do Barentsburga, rozmawiałem między innymi z panią Mette Bleken redaktorką swalbardzkiej gazety, której wypomniałem fragmenty jej artykułu o naszej stacji, gdzie moim zdaniem były błędne stwierdzenia stawiające nas w niekorzystnym świetle. U Rosjan nawiązałem bardzo przyjazne kontakty z konsulem i jego małżonką, poznałem także wicekonsula Oleszkę, którym wręczyłem upominki, po czym z wieloma paniami i panami uczestniczyłem w wystawnym przyjęciu. Było hucznie, obficie i smacznie. Tańczyliśmy różne przeboje (na szczęście miałem na sobie garnitur, krawat i lekkie buty). Pysznych potraw i łakoci było tyle, że nie dałem rady wszystkich spróbować (potem tego żałowałem, a niektóre mi się nawet śniły). Powrót miałem długi i wspaniały. Norweskim statkiem popłynąłem wraz z załogą najpierw omijając wejście do Hornsundu i cały Sorkapp, bo Norwegowie musieli pomóc jakiejś ekipie poszukiwawczej robiącej wiercenia geologiczne, bowiem statek, który dowiózł jej paliwo utknął w lodzie, po wschodniej stronie na wysokości Breepollen. Nasz PolarStar miał większą dzielność lodową, robił manewry, lód opornie, ale się przełamywał, było też coraz płycej i weszliśmy dosłownie na „stopę wody pod kilem” a trwało to bardzo długie godziny. Widząc, że ta przygoda zbyt się przedłuża, skorzystałem z propozycji zabrania się helikopterem. Podziękowałem kapitanowi i załodze i w słoneczne przedpołudnie poleciliśmy nad Lodowcem Horna, fiordem i wylądowaliśmy przy stacji. Idąc do bazy spotkałem Zdzisława, który podekscytowany stwierdził, że przed chwilą widział białego niedźwiedzia. Do tej pory nie spotkał misia, bo rzadko przychodziły pod naszą stację, więc trochę nie dowierzał, że one w ogóle tu bywają.

Gościliśmy wielu polarników, takich jak prof. Manecki z Krakowa wraz z grupą, która później rezydowała w Hyttevika, ornitologów, biologów, a wśród nich dr Ewę Pirożnikow z Uniwersytetu w Białymstoku oraz wielu innych, którzy byli mile witani zgodnie z kontynuowaną przez nas tradycją „otwartego polskiego domu pod biegunem”.

Zakończenie

Gdy po długiej arktycznej zimie i nocy zaczyna wschodzić słońce, gdy wszystkie atrakcje Arktyki są codziennością, gdy wiemy, że daliśmy radę udźwignąć trudy, niewygody, zadania, których już coraz mniej zostaje do zrobienia, trzymają nas w sprawności rutyna. Dni, które wydawały się coraz bardziej trudne, a aura dokuczliwa są już czymś zwyczajnym, rozpoczyna się następna faza zimowania, ta progresywna. Światło słoneczne, kalendarz, który zbliża się do wiosny, przyloty pierwszych ptaków – alczyków, wydrzyków, potem gęsi i ka-

czek, coraz radsze wizyty białych niedźwiedzi. Nie nas odwiedzały misie, tylko polowały na goszczące tu fok. Potem coraz większe usłonecznienie powoduje pierwsze roztopy pokrywy śnieżnej, zwłaszcza na stokach. Spływ wody roztopowej uruchamia i wypełnia albo wręcz przepelnia zmrożone jeszcze koryta tych cieków. To wszystko, mimo całej uciążliwości, jest budzącą optymizm fazą otwarcia bardziej dla nas naturalnego światła, życia przyrody, zieleni na tundrze, uzasadnionego oczekiwania powrotu do zwyczajności. I chciałoby się tu opowiedzieć o wielu sprawach z naszym udziałem, o seansach polarnej zorzy, która wprowadzała nas w zachwyt, ale z drugiej strony jej „fizykalność” zakłócała skutecznie propagację fal radiowych, odcinała nas od świata; o gościach polarnikach takich jak Wojtek Moskal, Marek Zajączkowski, o spotkaniach z ludźmi pasjonatami swoich dziedzin, których ciągnęło w te rejony świata, aby rozwijać wiedzę w ulubionej dziedzinie, o takich zwykłych ludziach, jak pewna grupa Norwegów, którzy po prostu przyszedli na nartach do stacji z Longyearbeen z siedemdziesięcioletnią panią na czele ekipy, o rodzinie żeglującej po świecie, niemającej kraju swojego zamieszkania, której za dom służył jacht, na którym żyją od lat i wychowują dzieci, a te uczą się regularnie przez radio, o odwiedzinach przyjaciela polskich polarników Kiella Morka (nauczyciela z Longyearbeen) czy byłego myśliwego, trapera, a obecnie przewodnika i fotografa (Ivara Rudda), który swoje łowy fotograficzne sprzedaje jak niegdyś lisie, niedźwiedzie czy focze skóry.



Mapa 1:5000 opracowana w IGIK na podstawie fotogrametrycznych zdjęć naziemnych

Trudno przez długie lata zapomnieć o psach, wspaniałych, wiernych towarzyszach i obrońcach polarników gotowych na poświęcenie, bo taką już mają naturę. One bez ludzi też potrafią żyć w polarnych warunkach, ale wolą z ludźmi. Z obawą chciałoby się zapytać: dlaczego?

Wyprawa zakończyła swój pobyt na Spitsbergenie 13 lipca 1988 roku. Statkiem m/s Granit opuściliśmy fiord Hornsund po kilku dniach prac przeładunkowych. Odplynęliśmy. Długo stałem na rufie, patrząc na oddalający się Spitsbergen, i nawet nie dostrzegłem, że nie jestem sam.